

S P O S Ó B N A Ż Y C I E

Rozmowa
z IRENĄ JUN

— Od lat pięciu jest Pani aktorką Teatru „Studio”, prowadzonego przez Józefa Szajnę. Co dała pani współpraca z tym wybitnym twórcą?

— Często zdarza się, że „aktor Szajny” jest obdarzany współczuciem. Niektórzy krytycy i widzowie uważają, że jesteśmy zdani na pastwę reżysera-plastyka, który nas pożera dla swoich plastycznych celów. Ja osobiście uważam, że wpływ wybitnej osobowości Józefa Szajny na aktora jest bardzo znaczący, a pasja tworzenia tego artysty musi udzielić się aktorowi, stąd też i aktor może czuć się twórcą w tym teatrze.

— Dla Szajny aktor jest tylko jednym z elementów jego wizji. To chyba wymaga od aktora szczególnej skromności?

— Tak, nie tworzy się kreacji aktorskich w tradycyjnym znaczeniu. O odrębności zadań aktora w teatrze Szajny stanowi potrzeba współdziałania z plastyką. Przykład: „Repliki” — plastyczna kompozycja przestrzenna, w pierwotnym założeniu dzieło li tylko plastyczne, poszerzone o udział aktorów, stało się spektaklem teatralnym. Szajna, twórca tego spektaklu, nie dając aktorowi podstawowego tworzywa teatralnego, za jakie przywykliśmy uważać tekst, pobudza aktorską wyobraźnię możliwości animacji towarzyszących aktorowi elementów plastycznych. Tworząc ciąg powiązań dramatycznych między aktorami, przedmiotami, dźwiękiem i światłem buduje dramat o niemal klasycznym rozwoju akcji. W teatrze tym aktor służy plastyce, lecz i plastyka aktorowi, wzbogacając jego wyobraźnię i środki wyrazu. Widzowi zaś proponuje się zmianę zasadniczego oddziaływania teatru: ze słuchania na patrzenie, co stanowi śmiałą próbę sięgnięcia po teatr nieliteracki.

— Wydaje się, że ten uniwersalny język waszego teatru leży u źródła ogromnego zainteresowania, z jakim spotkaliście się w czasie waszych wyjazdów do Włoch, Szkocji, Francji, RFN, USA, Meksyku, Holandii, Węgier, Szwecji. Nad czym pracujecie obecnie?

Teatr wystąpi niebawem z premierą „Puszki Pandory” Wedekindy w reż. Stanisława Różewicza, a dyr. Józef Szajna zajęty jest przygotowaniami do naszego kolejnego wyjazdu do Stanów Zjednoczonych. Termin wyjazdu bliski, już w końcu kwietnia. Pyta pani o najsilniejsze wrażenia z podróży? Niewątpliwie Meksyk. „Repliki” grana dla tysiąca siedmiuset widzów meksykańskiego miasta w górach, odbierana w niebywałej ciszy, oklaskiwana gorąco! A w Stanach prawie równie popularne jak spektakle „Repliki” okazały się spotkania i dyskusje z widzami zwłaszcza ośrodków uniwersyteckich. Teatr Szajny, teatr Grotowskiego podpatrywany przez tych, którzy szukają czegoś, co wykracza poza teatr, jakby sposobu na życie, filozofii czy religii. Niektórzy widzowie podróżowali za nami, aby obejrzeć nasz spektakl kilkakrotnie, a dwie studentki. Amerykanka i Japonka pokonały 2 tys. km towarzysząc nam aż do odlotu do Meksyku.

— Czy z teatrem Szajny związana się Pani na stałe?

— Myślę że tak. Chcę być wier-
na jednemu teatrowi — uważam,

że taka monogamia teatralna daje poczucie większej wartości pracy, jest to w aktorstwie bardzo ważne, co nie znaczy, że realizuję moje aktorskie ambicje wyłącznie w Teatrze „Studio”. Przykładem jest tu moja współpraca z Teatrem Polskim w Bydgoszczy.

— Czy do roli Marty w bydgoskim spektaklu „Kto się boi Virginii Woolf” starała się Pani prze-
nieść doświadczenia zdobyte w Teatrze „Studio”?

— Sama sztuka i sposób jej wystawienia nie bardzo na to pozwala. Jeśli coś udało mi się prze-
nieść do roli Marty, rozegraną przecież środkami realistycznego teatru, to może ową nutą tragiczną w ostatnim akcie. Kto wie, czy nie natrafiłam na nią w „Repliki”?... Nie twierdzę, że ją tam znalazłam, bo to nosi się w sobie, jest taka nuta w człowieku, która jakby bez przerwy brzmi i człowiek musi ją z siebie wydobywać, żeby usłyszał ją ktoś drugi.

— W roli Marty gra Pani jakby kilka kontrastowych postaci.

— To jest właśnie, to, o co mi chodziło. Chciałam zagrać jakąś syntezę kobiety, której postępowania nie można zaakceptować, ale którą można zrozumieć. Starałam się grać powody, które doprowadziły do takiej sytuacji, motyw postępowania Marty.

— W bohaterach Albee’go ukazany jest model mieszczańsko pojętej kariery, która jednak nie daje bohaterom satysfakcji. Czy Pani zdaniem przedstawia się sytuacja tej formy teatru obecnie? Ostatni festiwal wrocławski nie skłania do zbyt optymistycznych refleksji.

— Podczas podróży po Stanach widziałam wiele domów urzędowych niezwykle luksusowo, poznałam ludzi, o których Albee mógłby napisać tę samą lub nową sztukę; ludzi, którzy żyją odcięci od siebie, w przenośni i dosłownie. Mści się tu niewątpliwie konsumpcyjny model życia. Ludzie ci w większości nie dorośli do standardu, jaki im niesie ów system, który jednocześnie nie jest w stanie zaoferować im rozwiązań na ich własne życie.

— Od lat pasjonuje Panią Teatr Jednego Aktora i ma Pani w tym względzie wiele ciekawych dokonań, żeby przypomnieć „Sonatę księżycową”, „Czarownice”, „Pastorałki”, „Bał u Salomona”. Jak Pani zdaniem przedstawia się sytuacja tej formy teatru obecnie? Ostatni festiwal wrocławski nie skłania do zbyt optymistycznych refleksji.

— Przez dwa lata byłam jurorem na wrocławskim Festiwalu Teatrów Jednego Aktora. Trudno nie uskarżać się na nieobecność wybitnych indywidualności aktorskich na scenie tego teatru. Widocznie forma ta, wraz z jej rozpowszechnieniem się straciła na atrakcyjność, może jest zbyt dostępna, a może zbyt trudna. Festiwal Teatrów Jednego Aktora stał się po trochu imprezą dla aktorskiej młodzieży, a także hobbystów tej formy, którzy to nie zawsze zaliczają się do czołówki uznanych aktorskich wielkości, choć tworzą spektakle znaczące. Teatr Jednego Aktora winien być autonomicznym dokonaniem teatralnym, teatrem z prawdziwego zdarzenia, co nie znaczy, że musi mieć np. scenografię. Ale powinna to być forma bogata. A więc — przede wszystkim oparta na bardzo dobrym tekście lub

adaptacji dokonanej w związku z zamierzeniami inscenizacyjnymi. I te zamierzenia inscenizacyjne w stosunku do tekstu trzeba mieć! Dopiero wielość metafor teatralnej tworzy spektakl.

— W Nowej Hucie prowadziła Pani swego czasu teatr poezji.

— Przez 8 lat. Była to młodzieżowa scena amatorska. I bardzo sobie cenię to doświadczenie. Pozwoliło mi szybciej się rozwinąć, znaleźć własne środki wyrazu. Kiedy człowiek nauczył się przekładać tekst literacki na język teatru, znajduje własny sposób obcowania ze sztuką poprzez teatr — to znaczy, że to jest jego żywioł i musi się w tym wypowiadać.

— Ma Pani na swoim koncie również udaną reżyserię Bryllowskiego „Po górach, po chmurach”.

— Obecnie nie myślę o realizowaniu tzw. gotowego repertuaru, lecz o teatrze poezji. Nazwa to dość ogólna i kryjąca już dziś w sobie pewien banał. Ale marzę o stworzeniu takiego teatru może właśnie u Szajny.

— Intensywnie Pani żyje.. Ma Pani energię i ochotę udzielać się w tylu kierunkach.

— Moje zainteresowania dotyczą teatru, ale wszystko zależy od inicjatywy własnej, zaangażowania i takie rozumienie zawodu poszerza zarówno zakres możliwości jak i zobowiązań. Nie wierzę, żeby można było oszczędzać siebie lub istnieć w jakimś stereotypie. W życiu tak jak w teatrze nie umiem się nudzić. Nie chciałabym też być przypisywana do jakiegoś określonego gatunku aktorskiego, choć to ułatwia rozpoznanie aktora „na giełdzie”, ale tak pojmowana kariera nie interesuje mnie.

— Co się w aktorstwie liczy: do-
robek czy czas teraźniejszy? Ten do-
robek jest w pewnym sensie nieuchwytny: zostaje jedynie w recenzjach, pamięci widzów...

— Ale zostaje. Tak już jest, że to, co się liczy w życiu, bywa nieuchwytnie. Niepowtarzalny bywa nastrój jednego wieczoru, aby na-
zajutrz wydarzyło się znowu coś niepowtarzalnego i ten wciąż inny sposób widzenia siebie poprzez innych zostaje w aktorze. Jedne role budują drugie, każdy rodzaj postaci, z którą aktor ma się zmierzyć, czy gatunku teatralnego, w którym pracuje — dostarcza coraz to nowych doświadczeń i stwarza jakąś wielką pamięć, z którą człowiek — aktor musi żyć i przetwarzać ją wciąż na nowo.

— A w jakim kierunku zmierza Pani jako aktorka?

— Choć wypowiedziałam się przeciwko określaniu własnych predyspozycji, spróbuję zwierzyć się pani z bardzo nieśmiało-
go życzę marzenia: w epoce tzw. „szufladkowania” aktorów mówiło się: „aktorka-tragiczka” — może to brzmi zbyt dumnie, ale w tym właśnie gatunku chciałabym mieć coś do powiedzenia. Marzę także, że o spełnieniu marzeń może być mowa tylko w takim teatrze, w którym ciekawa, frapująca forma oparta jest o prawdziwie ludzką treść.

Rozmawiała:

KRYSTYNA
STARCZAK-KOZŁOWSKA